NUMER 42. DNIA 15. PAŹDZIERNIKA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

PIEŚNIARZE WIEJSCY.*)

Ferdynand Kuraś.

Nie patrzę na przejawy ruchu ludowego przez zkła różowe. Nie padam na kolana przed żadnem łowem lub czynem śmielszym, którego dokona hłop, gdyż uważam przejaw taki za zupełnie naturalny i dziś konieczny już psychologicznie. Każdy rtykuł, wiersz, przypowieść każda, która wychozi z pod pióra chłopskiego, interesuje mnie przeewszystkiem jako dokument kulturalny.

Dążymy do wyzwolin. Chcemy być ludźmi olnymi w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu ludźmi pięknymi, rozumiejąc ten przymiotnik głęoko. Po drodze do celu pozostawiamy dokumenty niej lub więcej ważne, zawsze jednak ciekawe. czywiście, dokument Reymonta, Orkana lub Karowicza będzie inny swą formą, piękniejszy artyycznie, jednakowoż twierdzę, że zasadniczo, w dnie yśli, będzie podobny do dokumentu chłopa nieowięconego, a uświadomionego. Jeden ból, jedna isknota i jedna troska kołysała wszystkich — for- jeno była inna. A w miarę głębokości poszczelnych umysłów chłopskich, i forma będzie bar- zbliżona i podobna do formy oświeconej. Stary, jeśli wymienię: Jakóba Bojkę i Wojciecha wadę.

Za taki dokument uważam wiersze Jantka Bugaja, za taki również i niniejszy tomik wierszy Ferdynanda Kurasia z Wielowsi pod Tarnobrzegiem. *)

Biedny jest ten Kuraś. Wytułał się trochę po świecie za najmłodszych lat, pracował krwawo od dzieciństwa na gorzki chleb codzienny, aż nim i chorość okrutna zawładła, że słuch utracił. Do książki rzadko zazierał, bo czasu nie było na to, dopiero po skończeniu terminatorstwa szewskiego, gdy osiadł na stałe w rodzinnej Wielowsi jako szewc wioskowy, zazierał do niej częściej i wtedy to poznał sprawy polskie, ludowe i inne. Przejął się też niemi do żywego, a jeśli nie tak i nie w tym kierunku, w jakimbym sobie tego życzył, to sprawa wpływów zewnętrznych, tak często zgubnych i zasłaniających mgłą mdłych frazesów jasny pogląd indywidualny na sprawy żywotne.

Wpływy zewnętrzne odbiły się też żywo na jego twórczości. Nie znaczy to, jakoby poezje jego nie były wyrazem jego indywidualności, dość słabej zresztą, tu myślę tylko o tej klerykalno-nacjonalistycznej tendencji jego utworów, tendencji przykrej, która nie tylko chłopa, ale i tego „starszego brata“ doprowadziła do tylu katastrof.

Szukałem w wierszach Kurasia tej siły wewnętrznej i mocy nagromadzonej przeświadczeniami, której jest pełny Wojciech Zawada — i tej nie znalazłem. Zdać się na wolę Boską i wstawiennictwo Panny Marji, to piękne — ale dopiero wtedy, gdy się w żyłach czuje krew płonącą, w piersi bunt, gdy się ma duszę niezłomną i pragnącą walki, walki... choćby bez zwycięstw.

*) Tytułem „Pieśniarze wiejscy“ chcę objąć kilka kiców impressyjnych z dziedziny poezji chłopskiej — leżałby tu więc i szkic o Jantku z Bugaja (nr. 26. ygodnia“ z r. 1905), niniejszy o Kurasiu — i następne, re w pewnych odstępach czasu ukażą się w „Tygo- “: O Jędrzku Suleji z Zakopanego, o Zawadzie, u (zupełnie nieznanym) i innych.

*) *Z pod chłopskiej strzechy. Zbiorek poezji chłopa z nad Wisły — Ferdynanda Kurasia. Kraków. Nakładem księgarni ludowej K. Wojnara. 1905.*

Struna mdło-patrjotyczna w utworach Kurasia jest przodującą, dlatego też o niej najpierw mówię, tembardziej, że forma i treść jej jest dokumentem ważnym, wskazującym, jak się nie powinno kształtować duszy chłopskiej. Prawda, są tam i śmielsze przebłyski i te, zdaje się, mówią o właściwej indywidualności tego poety.

Po za tymi wierszami jest cały szereg w tomiku Kurasia piosnek lirycznych i liryczno-opisowych, mniej więcej wdzięcznych i udatnych. Ze względu na przytępiony słuch autora, zastanawia muzykalność jego formy, np. w ślicznym wierszyku p. t. „Maj“:

Wszystko świeże w polu, w gaju,
Wszystko świeże już,
Witaj, witaj, miły maju,
Wskrzesicielu róż!

Odczucie natury, rozmiłowanie w niej i prostota, z jaką się spowiada ze swych uczuć, każą pięknie myśleć o jego twórczości na przyszłość.

Kuraś jest także bardzo wrażliwy na przejawy życia narodowego, na obchody patrjotyczne, rocznice pamiątkowe i t. d. I te właśnie momenty naszego życia pobudzały go do tworzenia wierszy t. zw. patrjotycznych, ocenionych już wyżej. Trzebaby jeszcze, by Ferdynand Kuraś potrafił zawładnąć tematem, który go zmusza do pisania. Bo często się zdarza, że początek wiersza jakiegoś jest pod względem artystycznym przepiękny, natomiast o kilka zwrotek niżej, przechodzi już w żmudną Kalwarję...

Trza władać życiem — trza władać sobą i ciągle być sobą.

Feliks Gwiżdż.

KAZIMIERZ KRÓLIŃSKI.

Przed rozstaniem.

A gdy pod wieczór, wstający z czeluści
Odwiecznych tęsknot, wyjdziesz z mojej chaty
W drogę, co wiedzie przez wygasłe światy —
Ostatnia iskra szczęścia mię opuści...

Jak wichr, co w pośród jesiennych pustkowi
Hymny cmentarzom wygrywa o zimie,
Wymawiać będę zagasłe twe imię,
Aż je w postaci echa wieczność złowi.

Na progu moim ostatnie twe ślady
Ostrzem boleści mej ze czcią wykroję,
Oprawię w drogie kamienie — w łzy moje,
Lśniące na duszy mej wyżynie bladej.

Cień twój ostatni, co padł na mą ścianę,
Wyrzeźbię, zaklnę w słońca jasną kulę
I przy niej jeszcze raz ból mój utulę,
A potem... duchem tułaczym się stanę.

I gdy za tobą mknąc w świat, co się spiętrza
Ogromem złudzeń, zgruntuję bezbrzeża
I szlaki, które światło bóstw ośnieża —
Znajdę cię, wrócisz, moja ty najświętsza?...



PAMIĄTKI BRZEŻAŃSKIE.

(Józef Czernecki: Brzeżany. Pamiątki i wspomnienia. Lwów 1905. Nakł. Tow. nauczycieli szkół wyższych.)

W szacie ozdobnej, upstrzonej pięknemi ilustracjami, wyszła wreszcie na świat Boży monografja miasta Brzeżan. Czas był najwyższy, bo nigdzie



MONASTER W KRASNOPUSZCZY OBOK BRZEŻAN.

może indziej nie szalał tak dziko nowożytny wandalizm, jak właśnie nad pamiątkami brzeżańskiemi. Nawet w latach, które się zapisały masowem wprost niszczeniem pamiątek dziejowych, samorodną naiwnością archeologów, ożywionym eksportem zabytków polskich za granicę, nawet w tym szóstym i siódmym dziesiątku lat ubiegłego stulecia, to, co się działo w Brzeżanach, wywoływało głos publiczny boleści i oburzenia. Ostatecznie połatano trochę groby Sieniawskich w Brzeżanach, zwrócono nieco uwagi na zamek tamtejszy, ale może dopiero niniejsza monografja wskaże jasno i dobitnie obowiązek teraźniejszości, względem pomników dawnych wieków.

W tej też myśli powitać należy pracę prof. Czerneckiego serdecznie i życzyć jej jak największego rozpowszechnienia, tembardziej, że napisana jest z wielkim pietyzmem i umiłowaniem grodu Sieniawskich i jego pamiątek.

Pominąwszy część geologiczną i statystyczną, które wogóle w monografjach miast zadużo zabierają miejsca, ze szkodą dla całości, a bez żadnego pożytku dla odnośnych gałęzi wiedzy — przyznać trzeba, że praca prof. Czerneckiego zgromadziła cały materjał odnoszący się do Brzeżan, a urywkowo tu i ówdzie drukowany. Poza tem jednak czeka jeszcze opracowania materjał archiwalny z akt grodzkich i ziemskich, który odnośnie do Brzeżan jest i bardzo obfity i bardzo wdzięczny.

Historję Brzeżan rozpoczyna autor od r. 1530, to jest od chwili, kiedy staraniem Sieniawskich wyniesione zostały do rzędu miast z prawem magdeburskiem. Historję zewnętrzną dumnej siedziby rodu Sieniawskich, jak i rozwój wewnętrznych stosunków w mieście pominął autor prawie zupełnie, uwzględniając natomiast zabytkowy i pamiątkowy charakter Brzeżan. Znajdujemy więc w pracy prof. Czerneckiego po za króciutką genealogją Sieniawskich, dokładniejsze opisy zamku, kościołów, a przedewszystkiem historję gimnazjum brzeżańskiego, którego setna rocznica istnienia dała autorowi pochop do napisania całej monografji.



KOŚCIÓŁ W BUSZCZU OBOK BRZEŻAN.

W tem leży cała, istotnie duża wartość pracy prof. Czerneckiego. Dokładny opis zachowanych po dzień dzisiejszy pamiątek brzeżańskich, z napisami i charakterystyką zastąpić musi inwentaryzację ich urzędową, dla ce-

lów konserwatorskich, dzieje zaś gimnazjum tamtejszego uzupełnione zostały mnóstwem szczegółów z własnych wspomnień autora, jako ucznia tego zakładu, w najcięższej dobie germanizacyjnej.

Zabytki brzeżańskie nagromadzone są głównie w zamku i jego wspaniałej kaplicy, dalej w kościele parafjalnym i bernardyńskim, w cerkwi grecko-katolickiej, w kościele ormiańskim, a wreszcie w nielicznych budynkach świeckich.



RATUSZ W BRZEŻANACH.

Dzisiaj zamek obrócony został częścią w browar, częścią zaś na koszary. Ani śladu dawnej wspaniałości: wszystko w największej ruinie. Kaplica, a raczej kościół zamkowy, bardzo cenny zabytek sztuki budowniczej w Polsce, zawiera nieocenione skarby sztuki rzeźbiarskiej. Opuszczona pod koniec ośmnastego wieku, przechodziła wraz z grobami Sieniawskich straszne koleje. Zamieniono ją na magazyny wojskowe i skład rupieci, później wynajęto żydom na skład wódki, a równocześnie dobyto się do grobowca, porozbijano trumny i zbezczeszczono trupy. Dopiero w r. 1878 usiłowaniom poszczególnych jednostek udało się przyprowadzić kaplicę i groby do jakiego takiego stanu

Mniej ważne, chociaż równie ciekawe zabytki posiada fara brzeżańska i kościół bernardyński, w ratuszu zaś mieści się gimnazjum, któremu autor poświęca osobną część swego dziełka. Gimnazjum, systemizowane pierwotnie jako pięcioklasowe od r. 1776 w Zbarażu, dekretem cesarza Franciszka I. z 9. sierpnia 1805 do Brzeżan przeniesione, zamieniło się w sześcioklasowe. Na podstawie skrzętnie zebranych przez siebie aktów i kroniki gimnazjalnej przedstawia autor w sposób barwny i żywy stosunki jakie w niem różnymi czasami panowały, wylicza uczniów, którzy w późniejszem życiu chlubę temu zakładowi przynieśli i t. d. Sam autor jest uczniem gimnazjum brzeżańskiego, więc nic dziwnego, że i moment osobisty podnosi opis serdecznością i pewnem żywszem uczuciem, grającem wspomnieniami młodości.

Z gimnazjum wiedzie nas autor wprost w piękne okolice Brzeżan, opisując w równy sposób jak miasto, pobliskie miejscowości, w których zachowały się jakiekolwiek ślady przeszłości. Z tej części pracy prof. Czerneckiego przytaczamy ryciny przedstawiające spalony niedawno monaster w Krasnopuszczy i kościół w Buszczu, rzadki zabytek domu bożego ufortyfikowanego.

Na około 100 stronnicach monografji swojej zamknął prof. Czernecki wszystko, co tylko zwrócić może w Brzeżanach i okolicy uwagę badacza i miłośnika narodowych pamiątek. Mimo braku archiwalnych wiadomości w tem dziele, życzyć by sobie należało, aby wszystkie miasta nasze rychło doczekały się podobnego opracowania.

F. J.



BRZEŻANY: WIDOK NA KLASZTOR BERNARDYNÓW OD STRONY STAWU.

MARJA BARTUS.

Dziennik nauczycielki wiejskiej.

(Ciąg dalszy.)

Wobec tego, co przed chwilą napisałam, dziwnie poważnie nastroiły się moje myśli. pamiętnik w istocie staje się spowiedzią, bo przed oczyma mej duszy staje cała przeszłość, której surowy głos sumienia pyta: i cóż uczyniłaś w istocie dla ludzi, dla współziomków, dla wszystkich przęcudnie marzonych planów twoich? — lecz tylko marzonych! pragnienia twoje było można nazwać szlachetnemi, do wszystkiego, co piękne i dobre, ożywiał cię zawsze na razie gorączkowy zapał — i cóż z tego? myśl a czyn dzieli niezgłębiona przepaść, którą wypełnić trzeba poświęceniem, wytrwałością i w każdej chwili zwycięstwem nad sobą, tem najtrudniejszem ze wszystkich zwycięstw.

Łatwo w uniesieniu chwilowem, jak Samson, wstrząsać i wywracać kolumny... lecz trudniej nierównie dzień po dniu, chwila po chwili oddawać się pracy mrówczej, na pozór niewdzięcznej i niepozornej, a do tego wymagającej złożenia jej z siebie niepodzielnej z nikim i niczem ofiary.

Nie wiem, czy wiele osób zastanawiało się nad ogromnem znaczeniem tych słów: z a w ó d n a u c z y c i e l s k i, bo zdaje mi się, że w takim razie świat nie byłby nimi przepełniony, jak jest.

Zawód nauczycielski jest to zakon reguł tak surowych, wymagań tak wielkich, trudów tak nieskończonych, że nie wieluby się znalazło powołanych, pragnących mu poświęcić życie, bez żadnego wynagrodzenia, gdyż ziemia tym ofiarnikom dać go nie może.

Widzę przed sobą niezmierzoną przestrzeń i drżę, by się w niej nie zbłąkać!

Wszak czasem jedno słowo, jedna myśl niebacznie rzucona, jeden przypadkowy czyn niesprawiedliwy zasiewa złe ziarno, które w młodych sercach uczniów rozróść i rozplenić się może, jedna powiastka źle wybrana może błędne wyobrażenia zaszczepić w duszy, bo pamięć dziecięcia jest upartą a pierwsze wyrażenia nie zacierają się nigdy. Jakże trzeba czuwać i jakże pracować — a ja z natury tak jestem leniwą i niewytrzymałą. Powiadają, że silna wola wiele zdziałać może. Prawdopodobnie nie miałam jej dotąd, kiedy wszystkie moje zamysły tak pełzły na niczem a chęci najlepsze były, jak bezsilne dzieci. Otóż chcąc się na początku z wielu moich wad, bardzo szkodliwych nowemu zawodowi, wyleczyć, postanawiam na początek:

1. Wstawać jak najraniej.
2. Zwyciężyć wstręt do nauki rachunków i języka niemieckiego.
3. Codzień być w kościele.
4. Ani chwili nie być bezczynną.
5. Bez przerwy pracować nad kształceniem się dalszem, odrzuciwszy na stronę wszystkie książki rozrywkowe, do których mam słabość.
6. Zapomnieć o s o b i e, wyrzec się pychy i próżności, która nawet teraz ciągle swoje j a kładzie na pierwszem miejscu i jak aktor czeka na oklaski niewidzialnych widzów.

Chcę służyć p r a w d z i e, więc muszę wyznawać p r a w d ę.

Zepsuła mnie bardzo przeszłość i szczęśliwy debiut na deskach literackiego świata... kadzidła jego rozwinęły we mnie jedną z najszkodliwszych wad, miłość własną. Podobało mi się błyszczeć i słuchałam z przyjemnością czczych słówek, które świat tak hojnie rzuca w dusze, drwiąc z łatwowiernych i oszukanych. Nie czułam trucizny w odurzającym zapachu podawanych mi kwiatów... aż ten sprowadził słabość duszy i obezwładnił ją do pożytecznej i obowiązkowej pracy. Lecz później... zaczęłam oprzytomniać... ludzie zrzucali swoje maski, świat, który mnie łudził, okazał się garścią szychu i śmiecia... złudzenia prysły... a na mnie spoczęła ręka ciężkiego doświadczenia, cierpiałam bardzo, lecz już przecierpiałam, dziś pragnę się odrodzić i wyleczyć — więc zbadać muszę stan mego duchowego zdrowia i stosowną rozpocząć kurację.

Ze świata s z t u k i, ze świata n a t u r y, przejście nie jest tak łatwe, zacząwszy od najmniejszych przywyknień życia a skończywszy na ludziach, zmiana ta straszną się zdaje na razie... nie tylko dla tych, co na tych drobnostkach opierają całą wartość życia, ale i dla tych, których duchowi rozkochanemu we wszelkiem pięknie, potrzebne są te piękne ramy, jakie świat cywilizowany otaczają... Natura jest szorstką i nie zawsze piękną, przynajmniej nie piękną w tym sposobie, w jakim zepsute nasze oczy widzieć ją pragną.

Z parkietów zeszłam na proste deski, z otoczenia salonu między bielone ściany ubogiego domku, z towarzystwa salonu między proste siermięgi i równie proste serca... może to mniej wygodnie, ale za to zdrowiej pod względem fizycznym i moralnym.

A teraz rozpoczynam protokół moich czynności: Nazajutrz po przybyciu, p. J. i naczelnik

gminy przedstawili mnie przyszłym uczniom, jako powagę, której odtąd słuchać mają. Z drżeniem wstępowałam na próg szkolnej sali, lecz wrażenie to prędko minęło, już po godzinie nauki czułam się uspokojoną i swobodną. Dzieci tutejsze są pilne, posłuszne i nieśmiałe, niektóre bardzo pojętne. Wszelkich wykładów słuchają z taką uwagą, że nieledwie myśl własną czytam w ich oczach, a i rękę w rysunkach i piśmie mają nader zręczną. Zaraz pierwszego dnia obeznałam się z katalogami i przepisanym porządkiem nauki, który chcę trochę zmodyfikować podług własnego planu. Praca nie jest tak ciężką, jak w Ochronce, przynajmniej mam tu do czynienia z istotami już myślącemi, a nawet żywo czującemi.

Gorzej ma się rzecz ze sprawami domowemi, wkoło żadnej kobiety, oprócz mojej służącej, pokój mam jako tako tymczasowo urządzony, lecz p. J., nie mając własnego, ciągle prawie w nim przebywa, a przyczyniając się kucharce mojej do wiktu, towarzyszy mi przy śniadaniu, obiedzie i herbacie.

Wprawdzie to człowiek 60-letni i mógłby być moim dziadkiem, ale zawsze stawia mnie to w jakiemś dziwnem i niemiłem położeniu. Żona jego dla wychowania dzieci bawiąca we Lwowie, zdaje się nie prędko tu zamieszka. Matka moja z powodu braku pomieszkania i szczupłości mej tymczasowej pensji, nie będzie mogła u mnie bawić, nie umiem więc sobie wyobrazić, jaki to wszystko weźmie koniec i czy długo zdołam tu prowadzić tak osobliwsze życie i gospodarstwo.

(C. d. n.)

Sen i marzenia senne.

(Streszczenie odczytu wygłoszonego w Towarzystwie przyrodników polskich im. Kopernika.)

(Ciąg dalszy.)

Ptaki mają sen porodniowy, pojadlny, drzemkę płodową i wyjątkowo sen pororoczny. Co do pierwszego rodzaju snu, to on może być albo dzienny, albo nocny; stosunkowo jednak nie wiele gatunków ma spoczynek dzienny, do takich należy parę gatunków papug, n. p. papuga Nowozelandska (Strigops habroptilus, sowopapuga miękkopióra), następnie sowy właściwe i lelki. Sen u ptaków nieudomowionych, jest bardzo lekki, bo ptaki te z wyjątkiem ich piskląt, nie zasypiają snem twardym, każdy szmer budzi je natychmiast, one są prawie ciągle przygotowane, bądź do ucieczki, bądź do obrony. Zdarzało mi się nieraz, jadąc konno w nocy po drożynach leśnych, najechać niespodzianie na stadko drzemiących głuszców, cietrzewi, albo pardw, zrywały się one natychmiast do lotu, lub uciekały pieszo przy zupełnej świadomości. Stado jaskółek, gdy zapadnie na noc w jesieni po oczeretach na brzegach jeziór, jest czujne przez noc całą i lada szelest najlżejszy, zbliżającej się łódki, płoszy je momentalnie. Gęsi dzikie, spoczywające w noc ciemną po polach, podczas wędrówki jesiennej, prawie że nie śpią wcale, bo ciągle słyszeć można głosy, wydawane przez czujne czaty i ciche gęganie całego stada. Co innego z osobnikami ptaków udomowionych, gęsi domowe, kaczki, kury, indyki, śpią snem twardym, w każdym jednak razie lżejszym od snu człowieka, o czem świadczą np. historyczne gęsi Kapitolu. Dzikie bażanty czuwają w nocy, w przestankach niedługich samiec bażant odzywa się głosem przytłumionym, pobudzającym widocznie stado do czujności. Wogóle ptaki dzikie, wystawione ciągle na niebezpieczeństwa, mają sen lekki, który drzemką nazwać tylko można, wtedy gdy domowe ptaki mają sen długi i bez porównania twardszy. Zresztą sen porodniowy nie jest koniecznością dla wszystkich gatunków i nie we wszystkich porach roku. Tak np. bekasy żerują we dnie i w nocy, toż samo czynią kaczki dzikie, następnie pewne gatunki gęsi, jak gęś łabędziowa. Sowy niektóre, jak np. jarzębata, polują we dnie i w nocy. Wiele ptaków podczas pory godowej nie śpi wcale, pomiędzy innymi słowiki, skowronki, kukułki. Najwyżej rozwinięte intelektualnie ptaki, a mianowicie papugi, szczególniej papugi hodowane, miewają sen twardy, a nadto bardzo wyraźne marzenia senne; mówią one przez sen, powtarzają zdania wyuczone, ale zwykle bez ładu i głosem przytłumionym, odmiennym od głosu, wydawanego za dnia; często zrywają się ze snu przestraszone, pod wpływem sennych marzeń. Chude, chore osobniki mają sen niespokojny, budzą się często, widocznie skutkiem marzeń. Miałem okaz papugi, wycieńczonej głodem i chłodem w czasie długiej podróży morskiej, odbytej na małym statku żaglowym; biedne zwierzę, zanim się poprawiło na zdrowiu i ochłonęło z przykrych wrażeń, doznawanych podczas bujania statku na falach, było stale niespokojne w nocy, zrywało się raptownie ze snu, spadało z grządki na dno klatki. Dopiero po pewnym czasie ustąpiły nieprzyjemne marzenia senne, wraz z powrotem ptaka do

zdrowia. Wizje senne, koszmary etc. bywają spowodowane wycieńczeniem organizmu, lub stanem jego anormalnym. Sen poobiedni i wypoczynek na słońcu są prawie powszechne u ptaków. W strefach gorących, w godzinach największego upału, „las milknie“, bo ptaki odbywają sjestę poobiednią, wygrzewając się na słońcu.

Orły kamczackie (Haliaetus pelagicus), po objedzeniu się rybami łososiowatemi, w czasie wędrówki płodowej tych ostatnich, bywają tak niedołężne, że dają się łowić chłopakom; parę razy przywożono mi takie orły żywe, złowione podczas odpoczynku pojadlnego. Sępy miewają także sen poobiedni, który czyni ich niedołężnymi. Indyki i gęsi tuczne wpadają natychmiast po nakarmieniu w rodzaj śpiączki, niektóre z nich kryją głowę pod skrzydło i zasypiają snem twardym, inne mróżą tylko powieki i pozostają przez dłuższy czas w zupełnej bezczynności. Ospałe okazy tracą zupełnie zdolność myśli i woli, jeść i spać staje się właściwością spasionego organizmu, nawet marzenia senne przestają go niepokoić; jest to stan najwyższej rzekomo szczęśliwości, jaki organizm zwierzęcy osiągnąć może — do podobnej szczęśliwości dochodzą także i ludzie nie myślący, piwosze, brzuchale, etc., inteligencją swoją stojący na stopniu tucznych gęsi. Oprócz rodzajów snu wyżej wymienionych wspomnieć musimy o wyjątkowym wypadku snu pororocznego u ptaków, a zarazem o oryginalnym półśnie płodowym, właściwym samicom tych zwierząt. Co do pierwszego rodzaju snu, to ma jemu podlegać jeden najdziwaczniejszy ze znanych ptaków, mianowicie: Tłuszczak Humboldta, czyli „guacharo“, albo „caca-piszku“, (Steatornis caripensis). Jakkolwiek p. Jan Sztolcman, w opisie szczegółowym tego ptaka, nic o śnie jego pororocznym nie wspomina, lecz opowiadał mi pewien obywatel amerykański, bawiący czasowo na Kamczatce w Pietropawłowsku, że ptak, o którym mowa, w porze, gdy pokarmu właściwego brak, mianowicie owoców z drzewa zwanego Iszpingiem (Nectandra), którymi to owocami żywi się wyłącznie, wtedy zapada otłuszczony w stan spoczynku pororocznego *). Co do snu zimowego jaskółek, to ten okazał się fantazją ludową. Półsen płodowy jest właściwy prawie wszystkim samicom ptaków, wysiadujących pisklęta. Podczas tego półsnu odmładza się organizm ptasi, samice po ciężkim pozornie trudzie wysiadywania, wracają do życia z nowym zasobem sił fizycznych, często następuje nawet rezorbcja nowotworów, dokuczająca organizmowi ptasiemu przed aktem wysiadywania. Fakty podobnego rodzaju obserwują się i w organizmie ludzkim, wszak przysłowie ludowe powiada, „że ciężarność, leczy wszystkie choroby dziewicze“. Tutaj przyroda, jakby wynagradzając organizm za poświęcenie rodzicielskie, darzy go nową młodością, nową energją życiową, usuwając nawet choroby uprzednio nabyte.

S s a w c e mają właściwie trzy rodzaje snu, mianowicie sen poobiedni, porodniowy i pororoczny. Półsen płodowy obserwuje się tylko wyjątkowo, a jakkolwiek ciężarne osobniki są bardzo skłonne do snu, ale on u nich nie przybiera nigdy formy takiej, jaką widzimy u niższych zwierząt.

Niektóre gatunki zw. ssących nie mają snu całkowicie, do tej kategorji należą delfiny i wogóle zw. delfinowate. Nikt nigdy tych zwierząt nie widział spoczywającemi na powierzchni oceanów — one są w ciągłym ruchu tak, jak skorupiaki liścionogie. Kapitan statku wielorybnego Frydolf Höck, który dwadzieścia lat pływał po morzach, polując na wieloryby, oświadczał najbardziej stanowczo, że delfiny nie śpią nigdy. Inne gatunki Waleni, jak np. wieloryby fiszbinowe i Olbrotowce sypiają i we dnie i w nocy, łącząc spoczynek poobiedni ze snem

---

*) Dwa razy podczas pobytu mojego na Kamczatce, spotykałem się z nazwą g u a c h a r o, jak mienią tego oryginalnego ptaka; pierwszy raz gdy przybył na Kamczatkę przedsiębiorczy amerykanin, mający zamiar skupować tłuszcz rybi, preparowany z ryb łososiowatych. Próbował on ten tran i znalazłszy go doskonałym, utrzymywał, że chyba tłuszcz pewnej ryby amerykańskiej znany pod nazwą „oliwy peruwjańskiej“, albo masła, (manteca guacharo) może przewyższyć w dobroci „oliwę“ rybią kamczacką. Wtedy amerykański obywatel Lugiebil, obecny przy tej rozmowie, oświadczył, że „oliwa peruwjańska“, o której mowa, nie pochodzi z ryby, lecz z ptaka, — a chociaż księża katoliccy uznali tę oliwę za postną, i stąd urosło mylne przekonanie, że ona jest częścią organizmu rybiego, tem nie mniej jest ona z pewnością tłuszczem ptasim gatunku zwanego „guacharo“. Tę rozmowe miałem na pamięci, gdyśmy mówili z kapitanem Riderbjölke, który dłuższy czas bawił w Peru, o misjonarzach w klasztorze Caripe, gdzie mnisi nie używają innego tłuszczu, jak tylko z guacharów. Kapitan ów opisał nam bardzo dokładnie samego ptaka guacharo i opowiadał o śnie jego, w porze, gdy owoców na drzewach Nectandry nie bywa. O podobnym śnie przymusowym w czasie braku zwykłego pokarmu, opowiadają Kurylczycy, odnośnie do ptaków wodnych tamtejszych; sprawdzić jednak tych opowiadań nie mogłem. To tylko jest rzeczą pewną, że otłuszczone ptaki wodne kamczackie znosić mogą bardzo długo brak pokarmu; że w czasie głodu, zapadają w pewien rodzaj snu głodowego.

porodniowym. To przyzwyczajenie spania długo i twardo u wielorybów stało się powodem ich zguby. Dzisiaj wprawdzie już i czujność we śnie nie na wiele by się przydać mogła kolosom zwierzęcym, albowiem wynalazczość umysłu ludzkiego, podniecana chciwością i pragnieniem mordu, zwyciężyła wszelkie już przeszkody. Dalekonośne sztucery, eksplodujące kule, armaty harpunowe zniszczą w prędkim czasie i wieloryby i słonie, których właściwość snu twardego jest spuścizną, odziedziczoną po przodkach, nie znających w dawnych, dobrych czasach potrzeby do czujności. Sen twardy głęboki jest właściwością także wielu zwierząt z działu torbaczy (Marsupialia). Tak np. lotopałanka (Petaurus) spi tak twardo za dnia, że jej wtedy rozbudzić nie można. Prawie tak głęboki sen ma we dnie i torbomysz (Acrobates pygmaeus). Śpi twardo również kangur drzewny (Dendrolagus) etc. wogóle zwierzęta śpiące we dnie, a szczególniej gatunki, które umieją sobie znaleść schronienie bezpieczne, mają sen twardy. Stosownie do sposobu życia zwierząt sen porodniowy bywa albo dzienny, albo nocny, następnie bywa on u jednych gatunków długi i twardy, u drugich krótki i lekki. Warunki zewnętrzne wpływały i wpływają na modelację charakteru snu porodniowego i na wytworzenie różnych jego kategorji, tak np. lew, tygrys i wszystkie prawie kotowate, następnie hjeny, dalej łasicowate, wydry rzeczne, psy dzikie, wilki, lisy sypiają najczęściej we dnie, a są głównie czynnemi w nocy, wszakże to przyzwyczajenie dziedziczne nie jest przeszkodą, ażeby warunki chwilowo odmienne nie wywołały zmian w tych przyzwyczajeniach. Sam obserwowałem, jak tygrys wygłodniały podczas zimy, napadał za dnia na konie, będące w zaprzęgu, lub rzucał się na tubylca Golda, łowiącego ryby w przerębli rzeki Amuru.

Myszy i szczury bywają najbardziej czynnemi w nocy, ale też i za dnia żerują bardzo często. Polówki i lemingi na Kamczatce są czynne i we dnie i w nocy. Wiewiórki śpią w nocy. Poletuchy we dnie Zwierzęta, które się nie boją napadu ze strony nieprzyjaciół, a mają obok tego bezpieczne i niedostępne schronienie, śpią długo i twardo, te znowu, które są otoczone ze wszech stron nieprzyjaciółmi, czychającymi na ich życie, śpią lekko. Następnie osobniki zdrowe i tłuste zasypiają twardo, osobniki chore i chude śpią snem przerywanym, lekkim.

Przyzwyczajenie do takiego lub innego rodzaju snu jest sprawą po większej części dziedziczną, ten fakt napotykamy prawie powszechnie, poczynając od najniższych zwierząt ssących, a kończąc na człowieku. Dzieci śpiochów będą najniezawodniej śpiochami. Rodzice przyzwyczajeni do późnego wstawania, przekazują cechę tę potomstwu swemu. Zwykle przyzwyczajenie osobiste nie może przy zwykłych warunkach pokonać przyzwyczajenia dziedzicznego, na to trzeba silnej woli osobnika i długiej tresury, wszelako jest rzeczą pewną, że wychowanie i praca nad sobą wytrwała i umiejętna, wpływać mogą korzystnie na zmianę przyzwyczajeń dziedzicznych w kierunku i długości snu i jego głębokości. (C. d. n.)

Dr. Benedykt Dybowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Adolf Neuwert - Nowaczyński. Wczasy literackie. Jako krytyk, Nowaczyński pozostał wierny swojemu rewolucyjnemu stanowisku, które miało tępić na wszelki sposób filisterstwo i snobizm w literaturze — wszyscy zaś, którzy nie stali się winnymi tego grzechu, zostawali łaskawie wpuszczani do panteonu wielkich talentów. Poza granicami satyry odbywało się to jednak zwykle bez żadnych głębszych uzasadnień — a raczej na podstawie formułek krytycznych, zwykle bardzo słabo uzasadnionych, sądów, hołdujących raz ustalonej doktrynie i migawkowych spostrzeżeń, biorących rzeczy po łebkach, bo szukających zawsze tych samych już kostniejących wartości. Bardzo często resztę wypełniało najzupełniej bezkrytyczne suggestjonowanie się danym przedmiotem i dorabianie *ad hoc* całego szeregu zdań, polujących na fajerwerkowe efekta stylistyczne np. (studjum o Micińskim) i zaćmienie czytelnika przytaczaniem najrozmaitszych cytat i nazwisk, nieraz użytych najzupełniej niestosownie — a zaś tylko tam, gdzie przedmiotem był pokrewny temperament i gdzie wchodziły w grę identyczne a głębsze przeżycia własne, można się było doszukać jakichś ciekawszych i bardziej nowych relacji (np. mistrz Villon i studjum o Berencie). Pomimo wszystko, metoda ta dała w swoim czasie pewne dodatnie rezultaty — nie zdołała ona jednak nigdy, a tembardziej teraz odpowiedzieć wszystkim zadaniom krytyki, nieumiejętne używanie jej zaś prowadzi wprost do smutnych rezultatów.

Bo tę żagiew buntu, którą Nowaczyński, Brzozowski, Nałkowski i inni świecili w oczy przerażonej burżuazji, należy raczej ponieść aż do tych bezkrytycznie uwielbianych do owych „wielkich", gdzie przecież tak często błyska melancholijna twarz kabotyna.

Stanisław Dzikowski.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika l. 5